

Noc ziszczenia



RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

Noc ziszczenia

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

Chodziłem razem z Surabalą do szkoły, utrzymywanej przez pewną starą pannę, i bawiliśmy się w męża i żonę. Ile razy przychodziłem do niej, matka jej głaskała mnie po głowie, stawiała nas obok siebie i mówiła: „Co za śliczna parka!”.

Byłem jeszcze dzieckiem, ale wiedziałem, co to znaczy, wiedziałem doskonale. Ustaliło się we mnie przekonanie, że posiadam do Surabali wyjątkowe prawa. Stąd też, uniesiony dumą posiadacza, często karałem ją i dręczyłem, a ona chętnie dokonywała dla mnie wielu uciążliwych rzeczy i znosiła bez skargi kary wszelakie. Cała wieś uwielbiała jej piękność, ale w mych oczach, oczach małego barbarzyńcy, piękność niewiele znaczyła. Wiedziałem tyle, że Surabala umyślnie po to przysłała na świat, by dźwigać moje jarzmo, a więc nie mam powodu robić z nią żadnych ceregieli.

Ojciec mój był zarządcą dóbr bogatej rodziny Czaudhuri i chciał mnie, gdy tylko przyswoję sobie biegłość w pisaniu, umieścić przy sobie w zarządzie, a potem, gdy się z tokiem spraw obeznam, dać mi posadę poborczy czynszów dzierżawnych. Ale w głębi ducha postanowiłem zrezygnować z tego zaszczytu. Nilratan, chłopiec z naszej wioski, uciekł swemu ojcu do Kalkuty, nauczył się po angielsku i został w końcu nazirem okręgu, czyli naczelnikiem administracji. To stało się ideałem mego życia i przysiągłem sobie zostać co najmniej generalnym sekretarzem sądu, o ile nie zdołam osiągnąć godności nazira.

Widziałem, że ojciec mój okazuje zawsze ogromny szacunek urzędnikom sądowym. Wiedziałem też od lat dziecięcych, że ludzi tych zjednywać sobie trzeba podarkami, takimi jak ryby, jarzyny, a nawet dawać im pieniądze. Dlatego to w sercu zachowałem dla nich, poczynawszy od podrzędnych aż do poborców podatkowych, miejsce honorowe. Są to bogowie, czczeni w naszym kochanym Bengalu, i stanowią miniaturowe wydanie 330-milionowego panteonu bóstw hinduskich. Kiedy idzie o korzyści materialne, ludność odnosi się do nich z większym dużo zaufaniem jak do starego poczciwego bożka Ganesza, patrona szczęścia, toteż składa teraz w ofierze urzędnikom to wszystko, co przedtem bywało udziałem Ganesza.

Zachęcony przykładem Nilratana przy sposobnej okazji zemknąłem również do Kalkuty i zamieszkałem na razie w domu pewnego znajomego ziomka, z naszej wsi pochodzącego. Potem otrzymałem od ojca małą pensyjną przeznaczoną na koszt wykształcenia. Mogłem tedy rozpocząć regularną naukę.

Poza tym wstąpiłem do różnych politycznych i społecznych zreszeń i niebawem uświadomiłem sobie, że winien jestem w ten czy inny sposób poświęcić swe życie dla ojczyzny. Ale nie wiedziałem, jak tego dokazać, a nikt mi nie wskazywał drogi.

Nie sprawiało to jednak żadnego uszczerbku w moim zapale. My, młodzi wieśniacy, nie umieliśmy jeszcze drwić sobie z wszystkiego, jak to czynili nad wiek dojrzały młodzieńcy kalkuccy, toteż wiara nasza nie miała granic. „Przywódcy” naszego związku wygłaszali mowy, my zaś, nie zważając na żar słoneczny doskwierający silnie, chodziliśmy od drzwi do drzwi z pustymi żołądkami i zbieraliśmy podpisy albo, stojąc na rogach ulic, rozdawaliśmy ulotki; czasem znosiliśmy ławki i krzesła do sal prelekcyjnych, a gdy tylko ktoś pozwolił sobie na najdyskretniej wyrażone słówko niechęci dla naszych „przywódców”, stawialiśmy murem, gotowi bić się z nim do upadłego. Młodzież miejska wyśmiewała się z „durnych prostaków”.

Przybyłem do Kalkuty z zamiarem zostania nazirem albo sekretarzem sądu, teraz atoli czułem, że wstąpiłem na drogę właściwą, by zostać Mazzinim albo Garibaldim.

Jakoś w tym właśnie czasie umówił się ojciec mój z ojcem Surabali o nasze małżeństwo. Wyruszyłem do Kalkuty w piętnastym roku życia, Surabala miała wówczas lat osiem. Teraz liczyła osiemnaście lat i ojciec mój był zdania, że czas najwyższy na ślub, bo potem będzie za stara. Ale ja przysięgłem sobie w skrytości serca nie żenić się wcale, natomiast położyć życie za ojczyznę, dlatego też oświadczyłem ojcu, że nie chcę brać żony przed ukończeniem studiów.

Po upływie dwu czy trzech miesięcy dowiedziałem się, że Surabala zawarła związek małżeński z pewnym prawnikiem nazwiskiem Ram Loczan, ale byłem wówczas tak zajęty zbieraniem zasiłków na pomoc dla Komitetu Odrodzenia Indii, że ta wieść nie wywarła na mnie żadnego wrażenia.

Immatrikułowałem się i właśnie miałem przystąpić do pierwszego egzaminu, gdy zmarł mój ojciec. Nie tylko musiałem starać się o własne utrzymanie, ale również zadbać o matkę i dwie siostry. Przeto porzuciłem uniwersytet i zacząłem rozglądać się za płatną posadą. Po długich staraniach uzyskałem miejsce drugiego nauczyciela w niższym zakładzie naukowym w pewnym małym miasteczku okręgu Noakhali.

Uznałem, iż stanowisko to właśnie mi odpowiada, i postanowiłem osobistym wpływem wykształcić każdego z mych uczniów na przyszłego bohatera i obrońcę wyzwolonych Indii.

Zacząłem swą pracę i zauważyłem niebawem, że zbliżający się egzamin to sprawa pilniejsza od przyszłości Indii. Dyrektor gniewał się, gdym mówił o czymś poza gramatyką i algebrą, toteż w ciągu kilku miesięcy wygasł cały mój zapal.

Nie jestem geniuszem. W ciszy domowej snuję wprawdzie zuchwałe plany, ale wkroczywszy na pole pracy, uginam, niby bawół hinduski, kark ku jarzmu, znoszę smaganie kolczastego bata, którym mnie okłada mój pan, przez cały dzień tnę pługiem skiby ciężkiej ziemi i czuję wielkie zadowolenie, mogąc wieczorem w spokoju przeżuwać strawę. Podobne stworzenie nie umie stawać dęba i wykonywać skoków.

Jeden z nauczycieli musiał dla bezpieczeństwa budynku mieszkać w pobliżu szkoły. Będąc nieżonaty, podjąłem się tego obowiązku i zamieszkałem w szopie krytej słomą, tuż obok budynku szkolnego.

Budynek ten mieścił się w niejakiej odległości od miasta nad wielkim stawem otoczonym palmami kokosowymi i arekowymi oraz krzewami mandaru¹, a przy samym budynku rosły dwie stare gojawy, rzucając chłodny cień wokół.

Zapomniałem nadmienić i do tej pory wydawało mi się to nawet niegodnym uwagi, że w pobliżu szkoły mieszkał prokurator Ram Loczan Ray, a wiedziałem, że znajduje się tu także jego żona Surabala, moja towarzyszką zabaw z lat dziecięcych.

Zapoznałem się z panem Ram Loczanem. Nie wiem, czy doszło do jego wiadomości, że znałem Surabalę dawniej, a ja nie uważałem za potrzebne mówić mu o tym za pierwszą zaraz bytnością. Przyznać muszę, że wówczas ledwo pamiętałem, iż Surabala była ongi w jakimś związku z moim życiem.

Pewnego dnia wolnego od nauki odwiedziłem pana Ram Loczana. Nie wiem już, o czym rozmawialiśmy, zdaje się, że o nieszczęsnym położeniu współczesnych Indii. Nie bardzo go to wówczas obchodziło, ale można było na ten temat rozprawiać długo i szeroko, pykając przy tym fajkę.

Podczas rozmowy usłyszałem w sąsiednim pokoju lekkie kroki, szelest szat kobiecych, cichy chrzęst bransoletek i wydało mi się, a raczej pewny byłem, że para ciekawych oczu spoglądała na mnie przez szczelinę małego okienka.

Nagle zjawiły się mej duszy znane ciemne oczy spojierające z zaufaniem i czystą miłością dziewczęcą. Czarne źrenice, czarne długie rzęsy, oczy spokojne, utkwione we mnie bez drgnienia. Uczułem, że serce obciska żelazna obręcz, zgniata je, a bólu tego wysłowić nie sposób.

Wróciłem do domu, lecz ból nie ustawał. Czytałem, pisałem, robiłem różne rzeczy, ale ciężaru z serca zrzucić nie mogłem, gniótł mnie, dławił jak zmora... uciskał piersi.

¹mandar, madar a. erytryna — drzewo ozdobne o dużych czerwonych kwiatach, łac. *Erythrina variegata*. [przypis edytorski]

Wieczorem uspokoiłem się trochę i spróbowałem rzecz rozważyć — czegoż mi właściwie brak? A głos z wnętrza spytał: „Gdzieś podział swoją Surabala?”. Odparłem: „Wy rzekłem się jej dobrowolnie. Nie mogłem się spodziewać, by wiecznie na mnie czekać miała”.

Ale głos rozległ się znowu: „Wówczas mogłeś ją mieć, gdybyś jeno chciał. Dziś rób, co chcesz, nie masz nawet prawa spojrzeć na nią. Surbala z dziecięcych lat wabi cię, słyszysz brzęk jej bransolet, pachną ci z dala jej włosy, a mimo wszystko zbliżyć się nie możesz, bowiem mur was rozdziela”.

Odparłem: „Ano trudno! Niechże będzie! Czymże mi jest dziś Surabala?”.

A serce mówiło dalej: „Dziś ci niczym! Ale pomyśl, czym ci mogła być!”.

Tak, to prawda. Czymże mi mogła być? Najukochańszym ze wszystkich stworzeń świata, najbliższym spośród nich, towarzyszką w doli i niedoli... Tak, tym mi być mogła Surabala! A teraz daleka, obca, tak obca, że nie wolno mi na nią patrzeć, nie wypada z nią mówić, a grzechem wprost jest myśleć o niej! Ten Ram Loczan wylazł nagle skądś, wymamrotał kilka formułek obrzędowych wyuczonych na pamięć, a potem porwał Surabala i zabrał jako swój łup, swą niezaprzeczną własność.

Nie chcę głosić nowych zasad moralnych ani też obalać porządku społecznego, nie zamierzam również rozrywać związków rodzinnych. Chcę jeno wyrazić to, co się we mnie działo, mimo że nie da się to pogodzić ze zdrowym rozsądkiem. Nie mogłem się wyzbyć uczucia, że Surabala, żyjąca w domu Ram Loczana i pozostająca w jego straży, jest raczej moją niż jego własnością. Wyobrażenie to było — przyznaję — nierozumne i nieprzy-
stojne, nie było jednak nienaturalne.

Od tej chwili nie mogłem skupić uwagi na żadnym zajęciu. Gdy w południe uczniowie moi hałasowali, gdy palił żar słoneczny, gdy powiew wiatru niósł do pokoju słodką woń kwitnących gajów, wówczas pragnąłem... nie wiem doprawdy, czemu pragnąłem, czułem tylko, że za żadną cenę nie strawię mego życia na poprawianiu zadań owych młodocianych bohaterów przyszłych wolnych Indii.

Po skończeniu nauki nie mogłem wytrzymać w domu, a jednocześnie nieznosny był mi każdy gość i unikałem bywania u ludzi. Siedząc o zmroku nad stawem i słuchając, jak powiew wiatru wzdycha żałośnie w liściach kokosów i areki, rozmyślałem nad tym, że społeczeństwo ludzkie to jedna ogromna sieć pomyłek i głupstw. Nikt nie ma dość rozumu na to, by rzecz właściwą zrobić w odpowiednim czasie, a gdy sposobność minie, dręczymy swe serca daremną tęsknotą.

Mogłem poślubić Surabala i być szczęśliwy przez całe życie. Ale chciałem koniecznie zostać Garibaldim, tymczasem zaś zostałem pomocnikiem nauczyciela w szkółce prowincjonalnej. Zaś ten prawnik Ram Loczan Ray, nieposiadający żadnego prawa do małżeństwa z Surabala, dla którego Surabala przed ślubem była jak sto podobnych dziewcząt, najspokojniej ożenił się z nią i zarabia mnóstwo pieniędzy jako prokurator. Gdy mu nie smakuje jedzenie, to wymyśla Surabali, gdy zaś jest w dobrym humorze, natenczas robi jej prezent z bransoletki. Jest gładki, okrągły, ubiera się pięknie i nie ma żadnych trosk — ja zaś, niedoszły bohater, siedzę nad stawem, wzdycham i gapię się na gwiazdy.

Ram Loczan oddalił się z miasta na kilka dni w ważnej sprawie urzędowej, a Surabala pozostała w domu swym, równie samotna jak ja w mojej szkole.

Przypominam sobie, był to poniedziałek. Niebo od samego rana już pokrywały chmury, a około dziesiątej zaczął padać silny deszcz. Z powodu grożącej burzy dyrektor mój wcześniej skończył naukę i zamknął szkołę. Przez cały dzień przewalały się chmury, jakby gotując się do walnej rozprawy. Nazajutrz po południu rozpętała się burza, a woda lała się strumieniami z góry. W miarę zbliżania się nocy wzrastała zaciekłość huraganu i rosła siła deszczu. Zrazu dał wicher od wschodu, ale odwrócił się i zmienił kierunek na południowo-zachodni.

Daremne byłoby usiłowanie spać w noc taką. Myślałem nad tym, że Surabala jest sama jedna w domu w tak okropny czas. Szkoła była dużo lepiej zbudowana jak jej lekki domek letni. Kilka razy zabierałem się, by sprowadzić ją do szkoły, a sam spędzić noc nad stawem pod gołym niebem. Ale nie mogłem zdobyć się na to.

O wpół do drugiej nad ranem posłyszałem nagle szum wody, nadchodziła fala powodzi. Wybiegłem z izby i podążyłem ku domowi Surabali. Pomiędzy nim a szkołą była tama brzeżnąca staw. Gdym szedł po niej, woda sięgała mi do kolan. Gdym był na środku

tamy, nadbiegła druga fala powodzi i rozstrzaskała się o belkowanie. Najwyższy punkt tamy znajdował się nie wyżej siedemnastu stóp nad poziomem gruntu.

Gdy się tam znalazł, postać jakaś nadbiegła od strony przeciwnej. Każdym fibrem serca czułem i wiedziałem, kto to był, i dusza zdrząła mi od tej świadomości. Nie wątpiłem, że i ona poznała mnie także.

Staliśmy oboje na tym małym skrawku ziemi, a wokół nas, w obrębie jakichś trzech mil, wszystko pokryła woda.

Nadszedł czas potopu, pogasły gwiazdy na niebie i znikły światła na ziemi. Nie byłoby grzechem, gdybyśmy wówczas rozmawiali, ale żadne nie mogło zdobyć się na słowo. Nie spyaliśmy się nawet wzajem, co począć mamy. Staliśmy, patrząc w ciemność, a pod naszymi nogami pienił się dziki, czarny, rozwścieczony potok śmierci.

Dzisiaj porzuciła Surabala cały świat i przyszła do mnie. Dziś prócz mnie — nie ma nikogo. W dawnych latach dziecięcych ta sama Surabala przyszła z innego świata, z jakiegoś ciemnego, przedwiecznego kraju niezgłębionych tajemnic i stanęła przy mnie pośród jasnego, pełnego ludzi świata, a dzisiaj, po długich, długich latach porzuciła ową ziemię lśniąca życiem i słońcem po to, by znaleźć się obok mnie w beznadziejnej, przerażającej ciemni, w momencie, kiedy przyroda rozgrywa ponurą walkę żywiołów. Prąd życia przyniósł mi ongiś pod stopy ten pęk nierozwity, a nurt śmierci porwał kwiat w pełni rozkwitu i znowu dał go mnie, mnie tylko samemu! Nadpłynęła jeszcze jedna fala, splucze nas z owej ostatniej krawędzi ziemi, na której stoimy z dała od siebie, i połączy na wieki w skonaniu.

Ale choćby nie przyszła ta fala, choćby Surabala długo i szczęśliwie żyła w swym domu, przy mężu, dzieciach i w otoczeniu krewnych, to nocy tej, kiedy staliśmy nad przepastną otchłanią śmierci, doznałem niebiańskich rozkoszy szczęścia.

Noc przeminęła, burza ukoiliła się, woda odpłynęła powoli. Bez słowa jednego Surabala wróciła do domu, a ja także powlokłem się z powrotem do mojej szopy, nie rzekłszy nic.

Siedziałem i rozmyślałem długo. To prawda, nie zostałem nazirem ani generalnym sekretarzem sądu, ani też Garibaldim. Jestem pomocnikiem nauczyciela w nędznej prowincjonalnej szkółce. Ale ta jedna krótka noc blaskiem oblała całą drogę mego życia.

Pośród wszystkich dni i nocy, jakie mi zostały dane, ta jedna noc stała się najwyższym ziszczeniem mego bytu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-noc-ziszczenia>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, Głodne kamienie i inne opowiadania, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.